

Krzysztof Dorosz¹, *Co łączy i co dzieli*, „Res Publica”, 1988, nr 8, s. 102–104.

Hasła przedmiotowe: Europa Środkowa, Europa Środkowa a Zachód, zjednoczona Europa.

Na pytanie postawione przez redakcję „Res Publici” nie czuję się w stanie odpowiedzieć wprost. Należę bowiem do sceptyków i uważam koncepcję Środkowej Europy, rozpalającą wyobraźnię wielu intelektualistów, za mit nieosadzony w realiach politycznych. Wątpię nawet często, czy ów dumny mit jest czymś więcej niż tylko pragnieniem własnej odrębnej tożsamości, zrodzonym w umysłach od kilkudziesięciu już lat zniewalanych przez Historię. Sądzę zatem, że może ważniejsza od spekulacji czysto politycznych jest tymczasem refleksja nad tym, co naprawdę łączy, a co dzieli obie części naszego kontynentu.

Mówi się wiele o szczególnych wartościach Środkowej Europy; kreśli się jej, odrębny od zachodniego, profil duchowy. Ale czy świadomość owych szczególnych wartości zakorzeniona jest w faktach, czy w chwilowej koniunkturze politycznej i kulturalnej? Czy rzeczywiście my, Środkowoeuropejczycy, mamy coś istotnego do zaoferowania Zachodowi? A może jesteśmy tylko prowincją: głuchą, śpiącą i zabita deskami nie przez moźnych tego świata, lecz przez własne słabości i niedostatek szerokich horyzontów? Czy nasze wzloty i upadki można rzeczywiście mierzyć miarą uniwersalną? Czyż nie powiedziano kiedyś o Polsce, że jest krajem, w którym nie ma wielkich ludzi – są tylko wielcy Polacy?

Stawiam te pytania w przekonaniu, że w tym całym środkowoeuropejskim splocie prawdy i zmyślenia daleko ważniejsza jest wierność rzeczywistości – choćby nasza miłość własna miała na tym ucierpieć – niż „wybijanie się na mit”. To prawda, że ów intelektualny mit, jak również wydarzenia rozgrywające się po wschodniej stronie mocno już dziś przerdzewiającej żelaznej kurtyny, zmieniły percepcję Środkowej Europy. Dziś, kiedy rozmawiam z zachodnim intelektualistą, wiem, że *Mitteleuropa* prędzej czy później pojawi się w naszej konwersacji. Słyszę wówczas uprzejme i okrągłe zdania na temat niewątpliwej, od wieków przypieczętowanej, przynależności takich krajów jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry do kultury europejskiej; słyszę oburzenie na Zachód, który o tej przynależności raczył w ciągu kilku ostatnich kilkudziesięcioleci zapomnieć. Uśmiecham się w odpowiedzi, wyrażam zadowolenie z powodu zmian zachodzących w spojrzeniu Europy Zachodniej na Europę Środkową, pozwalam sobie wymamrotać kilka słów na temat ewentualnego nowego typu partnerstwa kultury obu części naszego kontynentu i tyle. Rozmowę podąża do następnego tematu.

¹ Krzysztof Dorosz (1945) – eseista i dziennikarz. Stale współpracuje z polską sekcją BBC. Publikuje w „Aneksie”. Niedawno ukazał się zbiór jego esejów z „Aneksu” pod tytułem *Maski Prometeusza* (Londyn 1989). Mieszka w Londynie [przyp. red.].

Doceniam oczywiście ten gest. Nie twierdzę, że jest to tylko rytualne zaklęcie salonowe typu „bardzo mi miło Pana poznać”. Ale to zainteresowanie dla Europy Środkowej jest na ogół zainteresowaniem dla ubogich duchem i ciałem krewnych. Niepozbawionym dobrej woli, a nawet szlachetności serca i współczucia dla cierpiących polityczną i cywilizacyjną odsiadkę na mocy niesprawiedliwych wyroków historii. Pozbawionym wszelako uznania dla naszych osiągnięć: społecznych, kulturalnych, cywilizacyjnych. Jest to tylko kredyt; podobny kredytom gospodarczym zastrzyk moralnej gotówki oferowany w nadziei, że weźmiemy się w garść i zrealizujemy nasze ukryte możliwości, stając się w końcu tworem na wzór i podobieństwo kredytodawcy. Brak uznania dla naszych dokonań wy pływa więc niekoniecznie z czyjejs złej woli, niezrozumienia, z politycznej i kulturalnej izolacji, lecz z faktu, że wobec Zachodu stajemy z pustymi rękami. Z tego ubóstwa, przynajmniej w sferze kultury, usiłuje nas ratować mit Środkowej Europy.

Ów mit przypisuje Środkowej Europie nie tylko wartości *sui generis* – szczególną kulturę intelektualną i moralną – lecz również czyni ją często depozytariuszem europejskości prawdziwej i autentycznej, zanikającej na dekadentkim i rozpieszczonym materialnym dobrobytem Zachodzie. Za przykład chętnie się podaje szczególnie wyostrzoną wrażliwość Środkowoeuropejczyków na elementarne wartości demokratycznego współżycia, a więc wolność słowa, zgromadzeń, niezbywalne prawa jednostki, itp. Dowodem głębszej niż na Zachodzie europejskości ma być również szacunek dla dóbr kultury i jej twórców, niestąbnąca religijność i świadomość prawdziwych problemów ludzkiego życia.

Załóżmy na moment, że tak rzeczywiście jest, że doświadczona losem Środkowa Europa pozostała wierna pewnym podstawowym wartościom ukształtowanej przez europejski tygiel kultury judeo-chrześcijańskiej. Załóżmy, że czyniący na spustoszenia na Zachodzie relatywizm moralny, poznawczy i estetyczny nie zadomowił się jeszcze na dobre w środkowowschodniej części kontynentu; że dobro, prawda i piękno nadal mają tam niezłą prasę. Załóżmy, że Środkowa Europa rzeczywiście stała się depozytariuszem prawdziwych dóbr europejskich, nadwątlonych już mocno powszechnym kryzysem wartości. Ale czy dlatego, że jest im szczególnie wierna, czy dlatego, że – jak w wielu innych dziedzinach – pozostaje za Zachodem w tyle? Czy dlatego, że kulturę duchową ceni „ponad wszystko”, czy dlatego, że w kulturze materialnej i dobrobycie nie zdołała się jeszcze rozsmakować? I wreszcie: czy wartości przechowywane są tożsame z wartościami realizowanymi? Należałoby baczyć, byś my nie stali się podobni tym zapaleńcom, którzy – by sparafrazować Słowackiego – „zli, krzycząc Europa, Europa...”.

Krótko mówiąc, mit Środkowej Europy skłonny byłbym uważać za czek bez pokrycia. Naszej duchowej odrębności szukałbym nie w dokonaniach modelowanych bądź co bądź na tworcach tradycji ogólnoeuropejskiej i odbiegających często od swoich pierwowzorów, lecz w innej wrażliwości na świat. Ta wrażliwość zaś wynika nie z

bogactwa, lecz z ubóstwa, nie z zasobnego spichlerza wartości, lecz z faktu, iż nieszczęścia dziejowe dokonały w nim znacznych spustoszeń. Europę Środkową historia doświadczyła dużo bardziej dotkliwie niż Zachód; wojna, a potem choroba totalitarna omal nie usunęły jej gruntu spod nóg. Opatrzność zaaplikowała nam taką dawkę zła i zesłała taką niepewność losu, że staliśmy się w dużej mierze wygnańcami. Wygnańcami z dobrze ułożonej, pewnej swojego jutra i rozsądnej Europy. Rozsądnej, mimo wszystkie klęski i kryzysy, rozsądkiem jeszcze oświeceniowym, wiarą w materialny postęp i racjonalną organizację życia oraz słabnącym wprawdzie, ale nadal żywym przekonaniem o rozumności i naturalnej do dziś jeszcze idee zrodzone w Oświeceniu. Zachód w stopniu znacznie mniejszym niż Europa Środkowa doświadczył tragiczności ludzkich poczynań, poczucia, że nasze najpiękniejsze i nawet najbardziej realistyczne marzenia i nawet najbardziej realistyczne marzenia mogą się w każdej chwili obrócić wniwecz, padając ofiarą sił całkowicie od nas niezależnych, ciemnych i człowiekowi wrogich. Słowem, Zachód nie został jeszcze wygnany z oświeceniowego raju.

Europa Środkowa natomiast, choć tego raju nigdy właściwie nie zaznała, ma powody, by przyglądać mu się z zazdrością i zarazem nieufnie. Jej losy bowiem potoczyły się tak, że nie tylko nie posmakowała raju, ale przeżyła zło w stężeniu daleko większym niż Zachód. I w tym przeżyciu zła, w tym namacalnym doświadczeniu skutków grzechu pierworodnego, leży, moim zdaniem, *differentia specifica* czyniąca z dwóch części naszego kontynentu dwie duchowo odrębne, choć podobne do siebie części tego samego europejskiego świata.

Ale czy ta odrębność jest wartością? Tak, ale tylko potencjalną. Tak jak cierpienie nikogo nie uszlachetnia automatycznie, tak i świadomość zła nie zrodzi sama właściwych jej owoców: realizmu, umiaru i mądrości rezygnacji. Rezygnacji z prometejskich ambicji przebudowy społecznej, z boskich prerogatyw twórczych w kulturze i z gnostyckiego dążenia do wiedzy, której niepotrzebna jest wiara. Tego rodzaju postawy i wartości, ponieważ powstają wokół świadomości zła, związane były w europejskiej kulturze z tradycją konserwatywną, wobec idei oświeceniowych zachowującą dystans i sceptycyzm. Co nie znaczy bynajmniej, że są one wyłączną domeną konserwatystów i że przyniosą owoce bez naszych starań i zabiegów.